№ 5.

WARSZAWA DNIA 22 Stycznia / 3 Lutego R. 1866.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

WYCIECZKA NA OBSZARY NIEBA.

II.

IZAAK NEWTON. — SŁOŃCE, PLAMY NA NIEM I JEGO WIELKOŚĆ.

(Dalszy ciąg.)



W dniu w którym Galileusz kończył pracowity swój żywot, w Anglji w r. 1642, w Woolsthorpe przyszło na świat maleńkie dziecię, które miało wyrość na najznakomitszego męża siedemnastego wieku. Był nim Izaak Newton, od dzieciństwa okazujący zdumiewającą miłość nauki i pociąg do ulepszenia narzędzi służących mu do zabawy. Obdarzony umysłem niezmiernie bystrym, cierpliwością niewyczerpaną i szczególnem zamiłowaniem zastanawiania się i zgłębiania obranego przedmiotu, każdą naukę do której się zabrał odkrywaniem nowych prawd, skupianiem rozproszonych teorji i wyjaśnianiem przypuszczeń, posuwał na wyższe stanowisko, niż to na jakiem ją zastał. Wprędce też wprowadzając nowe wynalazki do mechaniki, optyki i astronomji, zyskał odpowiednie uznanie i otoczony został czcią przynależną jego genjuszowi. On to pierwszy prawa biegu planet, księżyców i komet podanych przez Keplera, objaśnił siłą powszechnego ciążenia, nazwaną późniéj prawem natury. Pomimo tak potężnego genjuszu, rozległéj nauki i niespożytéj sławy, jaką już za życia otoczony został, był to człowiek niezmiernie skromny, cichy i łagodny jak przystoi na prawdziwego mędrca, rozumiejącego dobrze, że stojąc dopiero na progu tajemnic Bożych, zdobywszy z nich jeden nic nie znaczący promyczek, duma z tego byłaby więcéj niż śmiesznością. Oddany całe życie niezmordowanéj i różnorodnéj pracy, zajęty jedynie rozmyślaniem odrywającem go od stosunków powszedniego życia, przeżył lat 85 i pochowany został w starożytnych grobach królewskich w opactwie Westminsterskiem.

Tak więc po zgonie Kopernika, druzgocącego błędne pojęcia układu widomego świata, z wieku na wiek przekazywane, a zastępującego je zupełnie nowym odmiennym systematem, w lat dopiero siedmdziesiąt trzy, Kepler wykrył prawa obiegu planet i jego kierunek, a w drugie lat siedmdziesiąt Newton wynalazł niejako siłę ruch światom nadającą. Blisko zatem półtora wieku zeszło, zanim nauka nieśmiertelnego naszego ziomka, wyjaśnioną zupełnie została, do czego potrzeba była aż dwóch tak potężnych genjuszów, jakim był Kepler i Newton, dwóch najznakomitszych mężów swojego czasu. Kopernik rzucił myśl, twierdzenie, następcy wyjaśnili je i dowiedli cóż to więc był za ogrom potęgi umysłowéj, umiejącéj odgadywać wypadki z wiekowych badań genjuszów!

Bossuet mistrz słowa z kazalnicy, rozważając zdobycze umysłu ludzkiego w jednem ze swoich kazań wielkiego postu, tak się wyraził: Nie jestem z liczby tych, którzy zbyt wielką wagę przywiązują do wiamości ludzkich, a jednak wyznaję, że nie mogę bez uwielbienia rozważać owych cudownych odkryć, które dokonała nauka, aby przeniknąć naturę, ani tylu pięknych wynalazków, które sztuka wyśledziła, aby ją nagiąć do użytku naszego. Człowiek prawie zmienił postać świata i wzbił się ku niebiosom. Aby wędrować z większem bezpieczeństwem, nauczył gwiazdy, jak kierować mają jego podróżami: aby dzielić na równe części swoje życie, zniewolił słońce do obliczania wszystkich jego kroków. Jakimże więc sposobem stworzenie tak słabe, wątłe, posłuszne swym zmysłom i przykute do ziemi, przyjśćby mogło do takiéj potęgi, gdyby w swoim umyśle nieposiadało siły wyższéj nad świat widomy, nieśmiertelnego tchnienia ducha Bożego, promyka jego oblicza, rysów stworzonych na obraz Boga?

Jakże słowa te są pełne prawdy i namaszczenia! Nauka, ale tylko prawdziwa takiemi myślami przejmuje człowieka, jest więc jego szczęściem, pochodnią oświetlającą drogę jego żywota, tarczą ochronną w przeciwnościach, pociechą w smutku i dolegliwości. Idźmy zatem w świat jéj zdobyczy, a jeśli olśnieni jéj blaskiem, wstrząśniemy się w swojem jestestwie, uznajmy swoją maleńkość, a wszechmocność TEGO co stworzył światy i w ruch je wprowadził.

Czem jest słońce? Czy ogniskiem wiecznie pałającem, czy ciałem stałem, podobnem do ziemi, są to pytania najprzód się do myśli nasuwające. Rozwiązanie ich jednak podobno na zawsze tajemnicą pozostanie. Patrząc na słońce przez dobrą lunetę zaopatrzoną szkłem kolorowem, dają się widzieć ciemne, ciemno brunatne a nawet czarne plamy nieregularnego kształtu i rozmaitéj wielkości. Przy dłuższéj obserwacji plamy te widocznie zmieniają swoje położenie, i okazawszy się na wschodniéj stronie, w miarę zbliżania się do środka tarczy słonecznéj, nabierają coraz szybszego biegu. Po przejściu środka stopniowo w biegu swem wolnieją i wreszcie wracając do pierwiastkowych leniwych przy wschodzie poruszeń, giną na stronie zachodniéj słońca. Po pewnym czasie uważano, że plamy te na nowo pokazywały się od strony wschodniéj, i że czas ich nieobecności wyrównywał czasowi, jakiego potrzebowały do przebieżenia drogi od wschodniéj strony słońca do zachodniéj, czyli od ich pokazania się do zniknięcia.

Ponieważ zasadą nauki Kopernika było, że słońce stoi w miejscu nieporuszone, a w około niego planety wszystkie ruch swój odbywają, pierwszem więc tłomaczeniem dostrzeżonego fenomenu było, że plamy te są odbiciem ciał ciemnych, krążących około słońca. Ale rozważywszy, że wszystkie planety, komety, księżyce a nawet ziemia nie biegną po okręgu foremnego koła, ale zataczają elipsy czyli koła spłaszczone, i że tym sposobem obieg wszelkich ciał około słońca, nie ma tak jednostajnéj systematyczności, tłomaczenie to wprędce odrzucono, i przypuszczono, że plamy znajdują się na samem słońcu i że ruch ich jest następstwem obrotu wirowego słońca około swéj osi. Rozważanie dalsze, szczególniéj zmienianie kształtu plam widzianych i stopniowe zwiększanie się ich biegu, a późniéj zwalnianie od środka tarczy słonecznéj, naprowadziło na wniosek, że słońce jest bryłą ciemną okrągłą jak ziemia, jak ona obracającą się około swéj osi, a przytem otoczoną powłoką, wydającą sposobem niewyjaśnionym światło i ciepło jakiemi tak szczodrze obdarza wszystkie w około niego krążące światy. Powłoka ta w ciągłem utrzymuje się falowaniu, na jéj powierzchni zdają się pływać ciemne punkta, okrągłe podługowate lub podłużne jak linje, które zanurzając się i ginąc dla oka, znowu wypływają na wierzch i stają się widzialnemi. Obok tych ciemnych punktów zwanych plamami, dostrzegają się miejsca niezmiernie jasne, nazywające się pochodniami słonecznemi.

Według długich i bardzo starannych obserwacji, domyślają się astronomowie że te plamy ciemne powstają z ciągłego poruszenia się materji z jakiéj złożona jest powłoka, a sprawianego przez siłę obrotu słońca znacznie większą przy równiku jak biegunach i przez siłę przyciągania téj saméj zmienności. Ztąd utworzone wirowe strumienie wyżłabiają niby lejowate otwory jak to spostrzegać się daje na bieżącéj wodzie, i tym sposobem przedstawiają się, ciemne lub czarne stosownie do swéj głębokości. Otwieranie się w ten sposób niejako powłoki świecącéj, zgęszczając ją do koła tworzy miejsce jaśniejsze zwane słonecznemi pochodniami. Wielkość plam ciemnych bywa rozmaitą. Do najzwyczajniejszych i najczęściéj spostrzeganych, należą równające się powierzchni Europy, ale widziano już przenoszące wielkość ziemi pięć razy, a nawet Herschel starszy, dostrzegł plamę piętnaście razy przewyższającą obszar powierzchni całéj kuli ziemskiéj. Czarność jednak tych plam tylko w stosunku do rażącéj światłości powierzchni słońca w ciemnéj barwie się przedstawia, bo gdy przez tarczę słoneczną następuje przejście planety wydają się świecącemi blaskiem bardzo silnym.

Co do czasu trwania ich w jednéj wielkości, ten bywa rozmaity, czasami nawet do sześciu dochodzący miesięcy. Z obserwacji znikania ich na zachodniéj stronie słońca i pojawiania się na wschodniéj obrachowano czas potrzebny do obrotu słońca na swojéj osi, i po licznych doświadczeniach przekonano się, że ten wynosi właściwie dni $25^1/_2$. W ciągu zatem roku słońce wykonywa czternaście obrotów, czyli gdyby było planetą jak nasza ziemia obracająca się około innego słońca, dzień jego lub noc wynosiłby dni naszych dwadzieścia pięć i pół. Kiedy słońce jest cokolwiek mgłą zamglone, plamy słoneczne czasami dają się widzieć za pomocą kieszonkowéj lunety, ale wówczas muszą być bardzo wielkie, znacznie przenoszące wielkość kuli ziemskiéj. Inne mniejsze dostrzedz tylko można przy pomocy lunet astronomicznych. Jak zaś grubą jest powłoka otaczająca słońce zwana fotosferą, o tem nauka nie ma najmniejszego nawet wyobrażenia.

Zanim przejdziemy do przedstawienia niektórych tajemnic widomego świata, zastanowiemy się chwilkę nad wielkością słońca. Średnica księżyca czyli linja prosta przeprowadzona w myśli przez sam jego środek, wynosi mil 454. Jest to wymiar jaki sobie mniéj więcéj możemy wyobrazić. Średnica ziemi ma mil 1,719 blisko więc cztery razy jest większą od średnicy księżyca. I téj długości wyobrażenie jeszcze można mieć jakie takie przez porównanie. Ale średnicy słońca mającéj długości mil 192,600, większéj przez to od ziemskiéj 112 razy już niepodobna w myśli sobie przedstawić. Cóż dopiero powiedzieć o powierzchni słońca 12,544 większéj od ziemskiéj, i o bryłowatości jego, na złożenie któréj trzebaby blisko półtora miljona brył tak wielkich jak ziemia zbić w jedną masę?

Żeby uprzystępnić pojęcie tak ogromnéj wielkości, niech nam się zdaje że wzieliśmy długość dwa razy większą od najbliższéj odległości księżyca od ziemi wynoszącą mil 48,000 która pomnożona przez dwa, uczyni mil 96,000.

Gdybyśmy więc taką długością niby promieniem zatoczyli z ziemi okrąg koła, i wydęli go jak pęcherz lub mydlaną bańkę, wówczas będzie to słońce, i w przestrzeni tak zamkniętéj, księżyc mógłby nietylko wykonywać swoje obroty około ziemi we wszystkich kierunkach, z góry na dół i od prawéj do lewéj strony, ale nadto po za nim zostałaby przestrzeń równa odległości ziemi od księżyca. Jest to przestrzeń ogromna jaką pojąć nawet trudno, a jednak późniéj

przekonamy się, jeżeli Wycieczka nasza w obszary nieba życzliwie przez Czytelniczki przyjętą zostanie, że w porównaniu do téj w jakiéj się mieszczą widome nam gwiazdy, jest malutkim proszkiem znikomym, nic prawie nieznaczącym punktem.

Wiadomo że linja przechodząca przez środek kuli na której wystawiamy sobie że się kula obraca, zowie się osią, a końce téj osi biegunami. Jeżeli sobie wystawiemy kulę przeciętą przez płaszczyznę prostopadle do osi i przez środek kuli i tym sposobem dzielącego ją na dwie równe półkule, zowie się równikiem. Gdybyśmy więc mogli po równiku czyli obwodzie ziemi lub słońca odbyć podróż koleją żelazną, obiegającą dziennie po sto mil, to równik ziemi objechalibyśmy w ciągu dwóch miesięcy a podróż po równiku słońca, trwałaby aż lat szesnaście.

Droga po jakiéj krążą planety w języku naukowym zowie się orbitą; — ta którą księżyc nakreśla w obrocie swym około ziemi wynosi mil 360,000, i chociaż w pojęciu tego wymiaru, miesza się już myśl ludzka, a jednak stanowi on dopiero połowę obwodu czyli równika słońca. Ziemia nasza zdaje się być wielką, Uran jednak z sześciu księżycami ma średnicę większą od niéj pięć razy, Saturn z siedmiu księżycami dziesięć razy, a Jowisz z czterema księżycami aż dwanaście razy. Inne planety choć mniejsze od ziemi, zawsze stanowią potężne bryły, mimo tego, gdybyśmy wszystkie znane dotąd i naszą ziemię i księżyc zbili w jedną massę i utworzyli kulę, toby słońce przenosiło jéj wielkość najmniéj sześćset razy. Jakim sposobem ludzie doszli do podobnych wiadomości, jak obrachowali niedostępne dla siebie wielkości, wiecznie krążące w przestrzeni bez granic, wyjaśniemy obszerniéj w następnym numerze. Da nam to zachwycający obraz potęgi nauki, wznoszącéj człowieka aż po nad światy, w niebieskie obszary, i oprowadzającéj go myślą tam, gdzie nogą stąpić nie może.

(d. n.)

Przy kołysce Arkadjusza O......

Gdy twą duszę Stwórca słał,
Na téj ziemi smutny szlak.
Mnie za matkę tobie dał;
Ja ci będę śpiewać tak.
Luli, luli, ty,
Synek mały śni,
Snute w niebie dni.
Luli, luli, ty.

Tyś powitał świat ten z łzą;
Boś podzielał straszny bój,
Walki, śmiercią z Matką twą:
Tul się do mnie synu mój.
Luli, luli, i t. d.

Ja Ci swoje serce dam,
Myśli moje wszystkie zbierz:
Bo ja dobrze świat ten znam;
Moim słowom synu wierz.
Luli, luli, i t. d.

Ja ci wskażę jak masz żyć.
Jaki okres jest ten twój,
Z niego wysnuć złotą nić,
A z niéj uwić drogi zwój.
Luli, luli, i t. d.

Cierniem słana tutaj gleb,
I zwodniczy szczęścia tryb,
Tu spożyjesz czarny chleb,
W ludziach, zwierząt spotkasz typ.
Luli, luli i t. d.

Wiedz ty życia taki tór,
Różnych ludzi mieści świat:
Lecz ty z dobrych zbieraj wzór,
Chociaż każden tobie brat.
Luli, luli, i t. d.

Wciąż ty miłuj pracy znój
Wytrwałością cechuj trud,
Prawdą zawsze synu mój,
To do szczęścia pierwszy schód.
Luli, luli, i t. d.

Gdy twych marzeń pryzmat zdart,
Do maluczkich ty się zniż:
Bólem kupisz duszy hart,
Wtenczas każden lekki krzyż.
Luli, luli, i t. d.

Życia twego wieczny rdzeń.
Niech niezłamie ciężki los,
Opatrzności Boski cień,
Nad twym czołem wstrzyma cios.
Luli, luli, i t. d.

Uczuć dumy strzeż się zła,
Choćbyś świata mądrość znał,
Zabij w sobie pyszne *ja*,
Bo to zgubny serca szał.
Luli, luli, i t. d.

Uczuć wzniosłych serca żar,
Co miłością ludzie zwą,
Poświęć Temu co ten dar,
Przelał na cię Własną krwią.
Luli, luli, i t. d.

Tylko temu silnie wierz,
Co stąpiło z nieba dróg,
Prawd przedwiecznych w duszy strzeż,
Takim Ciebie zbawi Bóg.
Luli, luli, ty,
Synek mały śni,
Snute w niebie dni,
Luli, luli, ty.

Matka Marja Okołowa.

KRONIKA LITERACKA.

Dobry pszczolarz według zasad wyrozumowanych przez Piotra Prokopowicza, opracowany przez A. Mieczyńskiego. Pasieki niegdyś tak ważne w przemyśle wiejskim zajmujące stanowisko, dziś tak wielkiemu uległy zaniedbaniu, że produkcja miodu niewystarczając na potrzebę kraju, zmusza przedsiębierców do sprowadzania go aż z Ameryki, przebywania z nim kosztownéj przez obszary morskie podróży, i rozwożenia późniéj kolejami żelaznemi po targach, któreśmy niegdyś własnym miodem zasilali. Nie ma wątpliwości, że z rosnącym rozwojem przemysłu wiejskiego i pszczolnictwo nie zostanie pominięte, dla pragnących więc niem zająć się, dziełko powyższe stanowić może wielką pomoc.

Wykład cały obznajmiający z czynnością dobrego pasiecznika, poparty jest sześćdziesięciu drzeworytami głównie przedstawiającemi ule różnego rodzaju nad których ulepszeniem wiele już pracowano. W samym końcu mieści się kalendarz dobrego pszczolarza, wykazujący czynności, jakie po szczególe w każdym miesiącu przypadają.

Nakładem Dyrekcji Dziennika Warszawskiego, wyszła powieść w dwóch tomach J. A. Miniszewskiego, p. t. *Ciernie kwitnące* z drzeworytami. Dostać jéj można w kantorze Dyrekcji przy ulicy Miodowéj pod N. 487, i we wszystkich znaczniejszych księgarniach. Cena rs. 1 kop. 25.

GLORIA!

Na Boże Narodzenie.

Chwała Ci Boże,
Dobroci morze!
Ty dla człowieka,
Zrzekłeś się chwały;
Przyszłeś z daleka
Nagi i mały.
Żłób Twoje łoże
Siano posłanie,
Chwała Ci Boże!
Chwała Ci Panie!

Rozgłos dokoła,
Radość wesoła!
W niebie, na ziemi,
Cuda się dzieją,
Głosy różnemi
Jedną pieśń pieją.
Pieśń wre jak morze
Głosi zaranie,
Chwała Ci Boże!
Chwała ci Panie!

Chwała ach! chwała!
Brzmi ziemia cała —
Dzieciątko małe,
Pociesz nas prędzéj;
Serca zbolałe
Wyprowadź z nędzy.
Niech się pierś wzmoże,
By wdzięcznie brzmiała,
Chwała Ci Boże
Chwała Ci chwała!...

W. z Zacisza.

POGADANKA TYGODNIOWA.



Ciepło prawie wiosenne nieopuszcza nas na chwilę, Wisła całem korytem toczy swoje fale, berlinki zimujące u pobrzeży roją się życiem jakby już wybierały się w podróż, a zapaleni aurzyści upatrują bocianów, i pierwiosnków, tych najpierwszych zwiastunów wiosny, strojnéj w różnobarwne tęcze, w złociste smugi słońca, w brylanty rosy i w cudne roje kwiatów. Podobnie łagodne zimy zdarzają się zaledwie raz na ćwierć wieku, a uczony archeolog zacny Ambroży Grabowski, w roku 1821 przy samym końcu Grudnia zbierał kwiatki. Mimo tego chorób jakich się wówczas obawiano, zupełnie się nie objawiły, tylko ciepła wczesne tak przyśpieszyły dojrzenie zboża, że żniwa zaczęły się jeszcze w Czerwcu.

W przyrodę jednak musiały się zakraść jakieś nieporządki, z roztargnienia lub wieku wypływające, bo gdy u nas lód już prawie wartości złota dochodzi, w Londynie w połowie zeszłego miesiąca, w pośród najokropniejszego wichru i gradu, spadł śnieg tak obfity, że nietylko ciężarem swym połamał mnóstwo drzew po parkach i ogrodach, ale na kilka godzin zatamował prawie przejście po ulicach. Jest to jak na Londyn rzadkość niesłychana, Anglja bowiem

z powodu położenia swego wśród morza, klimat ma znacznie łagodniejszy od naszego a mimo tego razem z Włochami drży z mrozu skarząc sie na ostrość zimy, gdy my narzekamy na niezwykłe ciepło. Cóś więc w prądach powietrznych ze zwykłéj zboczyło kolei, jakby z dąsów, grymasów lub marudztwa tetrycznego, zakrawającego bardzo na chumorki, zawiędłych zakwaszonych i zasuszonych w kawalerstwie, pięćdziesięcioletnich młodzieńców.

Kurjer Codzienny niedawno ogłosił dwie ciekawe korrespondencje, jedną wymieniającą kary jakie dotykały bezżeńców w starożytnym Rzymie, drugą z podpisem: *E. Z. stary kawaler*, składającą całą winę, coraz bardziéj upowszechniającego się celibatu męzkiego, na płeć niewieścią, jakoby przedstawiającą trudności i niebezpieczeństwa w dobrym wyborze przyszłéj towarzyszki życia. Przypuściwszy że pan *stary kawaler* ma zupełną słuszność, to i wtenczas głównéj przyczyny złego, zdaje mi się że w nas samych właściwiéj byłoby poszukać. Wszakże się uważamy za świeczniki i luminarzy świata; na kobiety z zapałem garnące się do książki i nauki spoglądamy z ukosa podnosząc ramion z politowaniem; narady kobiece nad środkami oświecania siebie, i zdobywania pracą niezależnego stanowiska wyśmiewamy; na każdy czyn kobiecy choćby najszlachetniejszy a współzawodniczący z nami, rozjątrzamy się, wrzeszcząc z gniewem, a do igły! a do rądla! Słowem powiadamy zawsze, bądźcie takiemi jak jesteście, a o tem co wam będzie potrzebne my sami pomyślemy i zaradziemy.

Jeżeli więc kobiety znajdują się w warunkach usprawiedliwiających samotne życie starych kawalerów, to dlaczegóż zamiast obmowy kobiet, nie postaramy się o ich podniesienie na właściwe stanowisko? Dlaczego nieusiłujemy poprawić je, wpłynąć własnym przykładem, aby się rozwijały w odpowiednim kierunku powszechnego dobra? Czyż w każdem społeczeństwie, zwykle tak złe jak dobre, nie spływa z góry na dół? Zajmując więc wyższe stanowisko od kobiet a przynajmniéj mniemając że je zajmujemy, czyż nie mamy obowiązku zapobiegania i tamowania przystępu wszystkiemu, co kobiety może na bezdroża wprowadzić?

Ale łajania nasze kobiet, to tylko matactwo i krętarstwo ludzi czujących swoją winę. Jest to wprawdzie nader wygodnie stroić się w szatę, prawie ubolewającéj doskonałości, ale czy słusznie i sprawiedliwie? Rozpatrując się ogółowo w społeczności naszéj, a nawet całego ucywilizowanego świata, kobiety bez porównania są daleko lepszemi od mężczyzn a co w nich jest nie tak jak być powinno, to bez zaprzeczenia z winy naszéj pochodzi. Narzekamy na niektórych zalotność i kokieterją, a czyż takie nieotaczamy najwięcéj nadskokami i uwielbieniem? Łajemy za przesadzoną elegancję, za zbytnie hołdowanie modzie, za zajmowanie się próżnościami i fatałaszkami; a czyż wśród młodzieży natapirowana czupryna, haftowany gors, obcisła rękawiczka, zgrabny lakierek i tym podobne małostki, próżnostki i drobnostki, nie stanowią jedynego celu życia?

Gniewamy się na lwice, a między nami czyż niema lwów i lampartów? Narzekamy na zbytki kobiece w rozszastywaniu ciężko nabytego grosza na koronki, jedwabie, aksamity i hafty; a czyż my nieprzejadamy tysiąców często ze szkodą zdrowia i mienia? Wymawiamy kobietom hołdowanie złotu w wyborze dożywotnich przyjacieli, a my czyż posażnych panien nie umiemy wydobywać ledwo że nie z pod ziemi, przekładając często bogate wiano, nad wdzięk duszy olśniewający nawet blask brylantów i złota? Powiadamy że panienki zostawszy żonami, nieumieją poprzestać na skromnem utrzymaniu ale wymagają wydatków nad stan i nad możność, a my czyż zawsze jesteśmy zadowoleni z tego co posiadamy? Czyż dla pokazania się przed światem, dla ostentacji, pychy i państwa mniemanego, nie brniemy często w długi po uszy posuwając się do czynów ani godziwych ani chwalebnych?

Wszystkie zatem wady kobiece są tylko słabem odbiciem zdrożności, w nas natłoczonych, niby obrazem malującym na szkle zwierciadła przedmioty przed nim będące.

Spojrzyjmy więc w siebie, rozważmy bezstronnie własne błędy i poprawmy się a wady w kobietach na jakie narzekamy znikną, jak mgła pod działaniem promieni słońca. Wszakże w kobietach chęć podobania się, jest tak wrodzoną jak liść drzewu a trawie barwa zielona. Postawmy się więc na takiem stanowisku, żeby mogły tylko dobrem, pięknem i mądrem podobać się a zaręczam że zostaną aniołami, chociażbyśmy jeszcze w sobie coś nieanielskiego zatrzymali. Ale poprawa to praca i to niebagatelna, a pracować ciężko i trudno i nudno, dogodniéj gnuśnieć w lenistwie i rzucać gromy na kobiety.

Dlatego ucząca się i uczona kobieta gniewa nas, bo jest żywą satyrą naszego nieuctwa i stronienia od książki. Dlatego narady kobiece nad własną oświatą i rozwojem swéj pracy, oburzają nas, bo oświatę bierzemy tylko z musu, a pracy poświęcamy się jak najmniéj o ile tylko można. Dlatego drwiemy ze współzawodnictwa kobiet, pragnąc je zatrzymać w szczupłych granicach przeszłości, bo czujemy, że bez wydobycia wszystkich sił moralnych, energji i silnéj woli, w walce z niemi przepadniemy, ustępując ze wstydem wiekami zdobytego pierwszeństwa. Chcielibyśmy królować i władać światem, ale z wygodą bez wysiłku, syci, niespragnieni, jakby dla zabawki i prostego zabicia czasu. Każde więc zakłócanie słodyczy takiego życia, gniewa nas i jątrzy, a że od pewnego czasu, jakoś kobiety w oświacie idą naprzód, gdy my niemal cofamy się, to nic dziwnego że maluczcy duchem, ospali i rozleniwieni, marszczemy się i boczemy na wytrącanie nam tego, cośmy wyłącznie sobie przywłaszczyli.

Zrzędzenie pana *starego kawalera* z tego samego płynie źródła. Oschłość duszy, sponiewieranie serca, igraszki i małostki życia dające w zysku zasuszone kawalerstwo, jak tu usprawiedliwić? Powiedzieć prawdy niemożna: przytoczyć powody niepodobna; pozorami otumanić ani myśleć, więc najbezpieczniéj powstać przeciw kobietom, i im przypisać wszystko złe z własnéj płynące winy. Tak pan *stary kawaler* zrobił, ale czy przekonał kogo? W kilka dni po wykrakaniu oskarżenia, odezwał się w tym samym Kurjerze Codziennym p. An. Wie. stając w obronie kobiet, i przypisując winę lenistwu męzkiego ducha. Jesteśmy więc z p. An. Wie. w zgodzie, a jako urzędowy Wasz obrońca, składam mu podziękowanie, nie za ujęcie się, lecz za wypowiedzenie prawdy, o którą

jakoś coraz trudniéj na świecie. Janek z Bielca komplementować nieumie, pomimo więc niedowarzonych wrzasków niedołęgów lubujących się w ciemności, jak żaba w kałuży, powiem Wam cichaczem, że w Prusach kobiety oprócz nauczycielstwa, coraz się więcéj poświęcają różnym profesjom, tak dalece, że w wykazie statystycznym już ich pomieszczono 70,752 jako prowadzących na swą rękę różne warsztaty i fabryczne przedsiębierstwa. W Sztokholmie zaś na zgromadzeniu stanowem włościańskiem p. Swensen uczynił wniosek, ażeby kobiety tak jak mężczyzni, przypuszczane były do egzaminu publicznego w Uniwersytetach krajowych, nietylko o pozyskanie godności doktorskiéj, lekarskiéj lub filozoficznéj, ale i w Wydziale prawoznastwa dopuszczającego do egzaminu kancelaryjnego: żeby przytem kobiety na równi z mężczyznami umieszczone były przy służbie pocztowéj i telegrafowéj, i żeby wreszcie w ogóle były czynnemi tam, do czego posiadać będą wymagane zdolności.

Jeżeli wniosek ten przejdzie, będzie to dowodem wysokiego umysłowego wyrobienia Szwedów, bo nietylko nielękających się współzawodnictwa kobiet, ale przeciwnie usuwających wszelkie do tego przeszkody.

Ze czterech numerów pisma niedzielnego Zorza dla ludu miejskiego i wiejskiego, można już pochlebnie wnioskować o staranéj redakcji p. Grajnerta i trafnym wyborze artykułów. Znajdują się tam powiastki dobre, wiersze bardzo zgrabne nawet pierwszorzędnych naszych poetow jak p. A. E. Odyńca, rozprawy moralne w kwestjach najżywotniejszych, opowiadanie rzemieślnika z Warszawskich ciekawości, przypowieści ludowe, ważniejsze zdarzenia i zagadki. Wszystko to pisane jest jasno, a co najważniejsza zajmująco bez przywoływania jakichś nadzwyczajności i sił nadprzyrodzonych, mało wpływających na poprawę moralną a utwierdzających w szkodliwym przesądzie.

Prostota opowiadania połączona z prawdziwym talentem i z poczciwą zacną dążnością, oto przymioty zalecające *Zorzę*, którą radzibyśmy po naszych miastach i dworach, widzieć jak najwięcéj upowszechnioną. Przychylne zaś to zdanie, nie weźcie za zwyczajną zachętę, przynależną każdemu nowemu pismu pragnącemu poczciwie i użytecznie pracować, ale za szczere gruntowne przekonanie, obudzające pewność, że jeżeli p. Grajnert z jednem staraniem redakcje będzie prowadzić, to wprędce koło swych czytelników tak rozszerzy, że Zorza znajdzie się pod każdym dachem, posiadającym choć jednego umiejącego czytać. Tego mu życzę całem sercem a o pomoc do Was się odwołuję.



Do ubrania na wieczory młode osoby tak panny, jak mężatki zaczynają nosić gorseciki z baskiną, mocno wykrojone, zakończone z przodu podwójnym bawetem. Pod spód idzie tiulowa bluzka lub szmizetka do gorsu, obszyta w górze koroneczką. Widzieliśmy tego rodzaju ubranie, złożone z sukni tarlatanowéj w drobne paseczki przeciągnięte nitką srebrną. Gorsecik do tego atłasowy niebieski przybrany był srebrnemi grelotkami. Srebrny sznur okręcony w koło głowy zakończony kwastami miał dopełniać ubranie.

Na mniejsze wieczory, zarówno jak do teatru noszą bardzo suknie fularowe w jasnych kolorach, najczęściéj nawet na białym tle w drobny kolorowy rzucik lub w paski mniejszéj lub większéj szerokości. Uważaliśmy między innemi suknię białą fularową w paski drobne niebieskie, przybraną u dołu ruszą ze strzyżonéj niebieskiéj materji. Staniczek wycięty kwadratowo obszyty był w górze takąż ruszą. Pod spód szła muślinowa bluzka przeszywana wstawkami kluni. Rękawki krótkie ogarnirowane były ruszą z pod nich wychodziły długie rękawy od bluzki przeszywane wstawkami. Szarfa niebieska przewiązana z tyłu obejmowała stanik w pasie.

Inna suknia z gładkiego fularu szamoa naszyta była u dołu ruszą czarną jedwabną w nie wielkie greckie zęby. Stanik u téj sukni był z długą baskiną ogarnirowaną stosownie. Przód spinał się na czarne guziki. Pasek czarny przepasywał baskinę. Ładna też była suknia na uroczystość weselną, biała tiulowa przystrojona u dołu pięcioma rulonami z białego atłasu. Stanik ubrany był bertą naszytą takiemiż rulonikami. Srebrna opaska na głowie i róża umieszczona z boku blisko warkocza, miała dopełnić tego świeżego stroju.

Dla młodéj mężatki przygotowaną była Gabrjela atłasowa niebieska, zakończona u dołu grubym jedwabnym sznurem, który podniesiony na szwiciu brytów formował wysoką piramidę. Każdy taki słup zakończony był u góry węzłem ze spadającemi kwastami. Stanik zupełnie gładki, wycięty czworograniasto objęty u góry grubym sznurem. Rękawki krótkie tak samo zakończone, przybrane były na ra-

mieniu węzłem ze sznuru z dwoma spadającemi kwastami.

Czesanie głowy nadzwyczaj bywa skomplikowane. Rodzaj zwany *Empire* przemaga nad innemi. Jest to fryzura z drobnych loczków nad czołem; z tyłu głowy w miejscu warkocza idą grube loki tapirowane, upięte na śpilki jeden koło drugiego, z pomiędzy tych spadają lekko dłuższe loczki zwane *grajcarkami*. Girlandy z kwiatów zupełnie dziś zarzucone za to wpinają fantastycznie pojedyncze kwiatki pomiędzy włosy. Wpinają też rozmaite sprzączki i kamee—otaczają głowę srebrną albo złotą opaską. Między innemi uważąliśmy włosy przystrojone złotym sznurem, w koło którego obwijały się liście z zielonego bluszczu.

W ogólności ozdoby srebrne zacząwszy od guzików wielkiéj używają wziętości.

Klamry do pasków, ławeczki przy grzebieniach, brosze i kolczyki wyrzynane są przezroczysto. Noszą także wiele biżuterji oksydowanych, w których staranna rzeźba całą stanowi wartość. Widzieliśmy takie klamry złożone z dwóch kwadratów, spinających się w środku prześlicznie wyrobione. Takaż sama broszka, takież guziki do rękawów i kolczyki dopełniają zwykle ubrania.

Najmodniejsze broszki złote mają formę podłużną, a u dołu zakończone sa wisiorkami. Broszka zastosowaną bywa zupełnie do kolczyków tak wielkością, jak kształtem. Koralowe biżuterje ciągle jeszcze się utrzymują. Zaczynają nosić na szyi łańcuchy złote z zawieszonym w środku medaljonem do fotografji. Wiele też daje się widzieć przy stanikach kwadratowo na przodzie wyciętych, różnego rodzaju naszyjników, przybranych spadającemi kulkami ze złota, z korali, ametystów i t. p. Bransoletka odpowiednia bywa do naszyjnika.

Kołnierzyki najświeższego kroju, mają z przodu dosyć długie końce, rozchodzące się cokolwiek na bok. Zowią je *cols Richelieu*. Widzieliśmy takie kołnierzyki webowe ozdobione w rożkach kwadracikami z koronki *Cluny*, obszyte takąż wązką koroneczką. Inne znów naszywają w podłnż wstawką kluni daną trzema rzędami. Rękawki bywają zawsze odpowiednie. W ogólności kołnierzyki noszą dosyć duże szczególniéj z przodu, gdyż z tyłu widać prawie tylko koroneczkę. Najmodniejsza dziś krawatka składa się z barbki *Cluny*, podwleczonéj czarną lub kolorową aksamitką. Barbka wązka na dwa palce spina się u szyi na broszkę, końce zazwyczaj spadają.

Nowości Zagraniczne.

Petit courier des dames. Ubranie głowy dzisiejsze jest w rzeczy saméj dziełem sztuki, potrzeba też dobrego fryzjera aby odpowiedział wszystkiem wymaganiom. Wyobraźmy sobie upiętrzoną fryzurę, złożoną z loków, warkoczy, rozmaitych węzłów i grajcarków. Nie wiele kwiatów przypinają, teraz do głowy, a przynajmniéj nie noszą wielkich girland, tylko rozrzucają fantastycznie kwiatki w pośród włosów. Używane za to bardzo torsadki złote i srebrne, sznury, kamee, ptaszki, perły, i wszelkiego rodzaju biżuterje. Kwiaty zdobią zazwyczaj kroplami rosy.

Uważaliśmy ładne liście rośliny wodnéj, nadzwyczaj delikatne, pokryte grubemi kroplami wody. Ubranie z tych liści zowie się *Ondiną*. Naszyjniki koralowe, bursztynowe, lub z kolorowych paciorek dosyć są używane. Noszą je nawet do sukien pod szyję, niepowiemy jednak aby to miało pięknie wyglądać.

Nierównie ładniéj zdobi młodą osobę aksamitka czarna na półtora palca szeroka, zawiązana z tyłu szyi na kokardę o długich końcach, spadających do stanu. Do niektórych przyczepiają medaljony złote do fotografji.

Uważaliśmy gustowne wachlarzyki dla młodych osób, zwane *Empire*, gdyż takich używano za dawnego Cesarstwa. Są one małe, wyrobione z konchy perłowéj, nabijanéj złotem — i z materji białéj, pokrytéj malowaniem. Do teatru noszą wachlarze czarne tiulowe naszywane złotemi albo stalowemi blaszkami, obsadzone w heban.

Są to owe sławne wachlarze weneckie albo hiszpańskie, opiewane niegdyś przez poetów.

Do ubrania na wieczór zaczynają wchodzić w modę kolorowe trzewiczki, koloru sukni. Pończochy noszą do tego jedwabne białe, haftowane jedwabiem w drobne pączki róż lub fijołki. Na rano do bucików mogą być pończochy wełniane, gładkie albo w paski. Do cokolwiek większego ubrania, używają pończoch jedwabnych — koloru sukni, i trzewików na obcasach przybranych z wierzchu kokardą.

Do wyjścia na ulicę w czasie błota za bardzo praktyczne uważamy skórkowe kamasze, stebnowane jedwabiem pąsowym. Małe dziewczynki ubierają w kamaszki na drutach, z włóczki kolorowéj. Dla chłopców przyjęte kamasze ciemne, tego samego koloru jak ubranie.

Suknie w pasy, bardzo używane na wieczory. Strojniejsze mają pasy złote lub srebrne, przerabiane na tle przezroczystem. Gazy *Chambery* w pasy atłasowe bardzo też świetnie wyglądają młode osoby noszą suknie organtynowe, nalepiane w kolorowe muszki lub gałązki. Stanik do tych sukien robią prosty, wycięty kwadratowo, bez berty, obszyty w górze płasko blondyną, lub torsadką sznelową odpowiedniego koloru.

Dla starszych mężatek powszechnie przyjęte w tym roku do strojnego ubrania, suknie atłasowe w kolorze zielonym i skabjozowym. W magazynie pani Pieffort odznaczała się wytwornym gustem suknia z zielonego atłasu, garnirowana u dołu szerokim wolantem i dwiema bufkami powyżéj. Tunika krótka otwarta z przodu, garnirowana była tylko jedną bufką i białą blondyną.

Berta u stanika składała się także z bufek, i białéj blondynki. Na głowę przeznaczone były kwiaty różowe z takąż przepaską.

Druga suknia biała atłasowa garnirowana u dołu bufkami tiulowemi i wstążką atłasową w kolorze różowym, miała długą tunikę z białego tiulu podpiętą białemi i różowemi piórami. Stanik gładki okrągły, objęty był paskiem różowym ze srebrną agrafką. Takież agrafki zdobiły również draperją przy staniku. Rękawy krótkie odpowiednio przybrane były tiulem.

Do ubrania głowy służyły opaski greckie z różowego aksamitu i śpilki z dużemi gałkami srebrnemi. Suknie tarlatanowe po większéj części mają spódniczkę garnirowaną bufkami; na nią spada tunika

jakby długi woal, podniesiona w niektórych miejscach gałązkami kwiatów albo kokardami ze wstążki.

Na wieczorki mniejsze młode panienki noszą bluzki muślinowe z gorsecikami jedwabnemi w rozmaitych kolorach. Gorseciki te mają w górze ząb śpiczasty na przodzie i na plecach, oraz baskinę także w zęby wycinaną. Szelki i cały gorsecik przyozdobiony jest wstawką koronkową z zębami po obu stronach. Spódniczki do tego bywają z lenosu, białego moheru lub z jasnego fularu.

Na wizytowe ubranie aksamit angielski w kolorze szafirowym, brązowym, popielatym i fijołkowym wchodzi w coraz większe użycie. Suknia bywa zazwyczaj z paletotem; do tego noszą takiż sam manszonik obszyty brzegami futrem. Do najstrojniejszych należą okrycia czarne aksamitne nakrapiane biało i z materji *gros grains* podszyte futrem, większość jednak nosi sukienne okrycia jako przystępniejsze w cenie.

Kapelusze małe ciągle się utrzymują, najwięcéj widać aksamitnych z ładnemi wstążkami z brzegiem pluszowym. Kapelusze tiulowe przyjęte tylko do teatru lub na koncert.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia jedwabna fijołkowa, broszowana w czarny rzucik. U dołu obszyta trzy razy aksamitką. Takaż sama spódniczka. Suknia podniesiona klapami, spadającemi od stanu. Paletocik przybrany odpowiednio aksamitką. Kapelusz fijołkowy aksamitny, szarfy czarne. Woal z illuzji czarnéj. Kołnierzyk webowy takież mankiety u rękawków. Rękawiczki kozłowe.

Figura druga. Suknia na wieczór biała organtynowa. U dołu garnirunek z białéj organtynowéj ruszy, i z wody przewłóczonéj różową wstążką. Gorsecik szwajcarski różowy z dwiema szerokiemi szarfami spadającemi na tył, i dwiema krótszemi z przodu. Szarfy u dołu obszyte gipiurą kluni, przybrane takąż samą wszywką. Na ramionach pukle ze wstążki. Koszulka biała tarlatanowa lub tiulowa układana w zakładki.

Na głowie aksamitka czarna naszywana pączkami róży.



Panu G. Milew. Ryza kolorowego papieru listowego w najlepszym gctuku wraz z opłatą pocztową i opakowaniem kostuje rs. 2 kop. 40.

Pani Karo. Sa. Do przystrojenia stanika u sukni czarnéj jedwabnéj użyć można białéj koronki *Cluny*, do sukni jasno popielatéj czarnéj koronki.

Pani Ma. Nie. Ubiorki na głowę są po większéj części w rodzaju opasek. Strojne układają z kwiatów, do częstego użycia bywają aksamitne.

Pani Kazi. Ło. Klamra srebrna do paska wyrzynana ażurowo kosztować będzie rs. 3. Dostanie i za 2 rs. lecz nie tak pięknie wyrobioną. Kolczyki i brosza srebrna kosztują rs. 10.

Panu A. Be. Cennik wyrobów srebrnych przesłaliśmy.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



Nº 17.

TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Dodatek do Nr. 5 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia $\frac{22 \text{ Stycznia}}{3 \text{ Lutego}}$ *1866 r.*

LILJA I BLEKOT

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).



To stryjenka ucieszyła się pewnie.

— Kochała brata bardzo – odrzekł pan Bojomirski, lecz Edward nie zważał na dwuznaczność tych wyrazów.

„Kochała brata bardzo" — a więc i bratową, zwłaszcza też bratankę, rzecz naturalna bardzo.

— Więc te panie do domu wracają?

— Nakręciły się już dosyć po Paryżach, Dreznach, Włoszech. Ale myślę, że na zimę pewnie znowu do Drezna wyjadą, jeżeli ich nie przytrzyma Warszawa.

— Przypominam sobie, że pani Tytusowa dla *edukacji* córki za granicą mieszkała.

— O, i bardzo jéj też dobrą dała edukacją! Dziś téj włóczęgi dosyćby już było.

— Zapewne te panie długo spoczywać będą.

— Rozumie się. Siedziałem z niemi blisko do godziny drugiéj, nim samowar się zagotował i służba jakieś tam przyrządziła zakąski. Żony nie pozwoliłem zbudzić, i dziś na *dzień dobry* dowiedziała się dopiero, jaka nam w nocy zawitała niespodzianka.

— Ucieszyła się.

— Oczywiście — przepuścił stryjaszek *jakoś* przez zęby, lecz i na to bratanek nie zważał, bo mu właśnie przyniesiono herbatę.

Ubrał się następnie i wyszedł z książką do ogrodu. Potem usiadł pod drzewem blisko domu i czytał.

Około południa poczęły go dolatywać z salonu dźwięczne tony fortepianu, wprawną wywołane ręką i udał się niebawem za tym odgłosem.

Przy fortepianie, bokiem do drzwi wchodowych, siedziała młoda osoba, przebiegając po klawiaturze drobnemi palcami z nieporównaną lotnością.

Edwarda wchodzącego nie widziała *niby*. Posunął się, przystanął. Fantazyjne *potpourri* jak brzmiało, tak brzmiało. Stanął przy oknie nie wiedząc, co ze swoją miał począć figurą — i patrzył się na grającą. A zdawało mu się, że nań w téj chwili jakoś wcale niekorzystna przypadła rola.

Panna była śliczna i biały kaszmirowy strój ranny, podbity materją koloru zorzy, cudnie jéj giętką odznaczał kibić — objętą tegoż koloru grubym sznurem z kwastami. Na sploty czarnego, lśniącego włosa, zarzuciła *od niechcenia niby*, białą koronkową chusteczkę, wdzięcznie zdobiącą białoróżowe lice, ślicznie zarysowanego profilu. Białe rączki wychylone z pod szerokich rękawów, wydawały się bielszemi jeszcze przy bransoletkach z czarną emalją. Z pod białéj batystowéj spódnicy pięknie haftowanéj, na któréj szeroko a malowniczo rozkładał się zróżowiony podbitką kaszmir, raz po raz wymykała się nóżka zgrabniutka w tureckim meszcie, przetykanym złotem. Czyliż nie cofnęła się w téj chwili, w półcienie wcale niekorzystne, skromna Tecia w swojéj perkalikowéj sukience?

Edward stał i patrzał — i słuchał, bo i posłuchać było czego: młoda piękność po mistrzowsku tonami władała.

Długa upłynęła chwila — jakkolwiek że jemu nie byłaby się długą wydawała wcale, gdyby nie to nieco ambarasujące położenie, w którem się znajdował.

W tem z drugiego pokoju ukazała się gospodyni domu i — jak się domyślał — pani Tytusowa: piękna postać niewieścia, podobna do uroczystéj pianistki, lecz starsza i kształtów pełniejszych. Ubiór miała podobny jak córka — z tą różnicą, że zamiast chusteczki, włożyła na głowę czepeczek: istne pieścidełko mody. Uśmiech słodki, wdzięczny, igrał na jéj ustach, rumianych i pełnych; ciemne oczy wesoło świeciły.

Edward posunął się do okna.

— Bratanek mojego męża — wymówiła stryjenka — pan Edward Bojomirski.

Pani Tytusowa uprzejmie głową skłoniła.

Panna obejrzała się od fortepianu, opuściła ręce ociężale niby i podniosła się zwolna rzuciwszy z pod opuszczonéj, długiéj czarnéj rzęsy, błyskotne spojrzenie oczów przepięknych, na przedstawionego sobie młodzieńca.

Edward ujrzał prześliczną twarzyczkę, pełną krasy i wdzięku, któréj profil już był podziwiał.

Potem posunęła się zwolna, niby obojętna na wszystko co ją otaczało — stanęła przy stole i poczęła dzienniki przerzucać.

Edwardowi zdawało się znowu, że on coś na... *gapia* zakrawa, gdy w tem pani Tytusowa nader uprzejmie zagadała do niego. Jakżeż jéj był wdzięcznym!

Odpowiedział z podwojoną uprzejmością; przysiadł się bliżéj — i potoczyła się gawędka o podróżnych przygodach — wypadkach na kolejach żelaznych i t. p.

Panna, przejrzawszy dzienniki, zwolna posunęła się do okna, nie udarowawszy nikogo i jednem spojrzeniem.

— Cóż Liza tak zamyślona po swojéj pięknéj muzyce? — zaczepiła ją pani Bojomirska.

Panna zwróciła się szybko, i uśmiechnęła, jak słoneczny ranek majowy — przystępując bliżéj, srebrzystym wymówiła głosikiem:

— Nie jestem zamyślona, ciociu kochana, tylko znużona nieco. Chociaż wyznać muszę, że to moje ulubione *Potpourri* zawsze rozmarza mnie trochę— i rzuciła się na fotel lekko, z gracją nieokreśloną.

— Może ci przypomina jakie chwile przyjemne.

— Nie, ciociu, bynajmniéj! — odrzekła Liza obojętnie — bynajmniéj! zajmuje mnie wprost tylko muzyka: piękna to kompozycja, pełna prostoty i harmonji, a tyle w niéj życia.

— Żeście się w Dreznie nie zatrzymały dłużéj, podziwiam — uśmiechnęła się ciotka.

— Mama chciała, alem prosiła, byśmy wracały: już mi się sprzykrzyło to życie w obczyznie.

— Czy tak?

— Naprawdę, ciociu! Cieszę się na wsi.

— Byleś nie znudziła się tylko.

— Nigdy!

— A cóż poczniecie w zimie?

— Jeżeli mama zechce, to pojedziemy do Warszawy.

— Wyznam szczerze — ozwała się pani Tytusowa — że co do mnie, to Drezno przedewszystkiem lubię. Pan znasz Drezno? — zwróciła się do Edwarda.

— Znam dobrze, pani.

— Pan Edward zwiedzał zagraniczne uniwersytety, ozwała się stryjenka.

— I cóż pan teraz rozpoczniesz? — zapytała go znowu pani Tytusowa.

— Zostanę *hreczkosiejem* — uśmiechnął się Edward.

— Byłabym pana raczéj za literata miała.

— Dla czego pani?

— Pan masz spojrzenie myślące. Nadto widziałam z naszego okna, żeś pan przez dwie godziny przynajmniéj, pod drzewem czytał a czytał.

— Lubię czytać, pani.

— I cóż pan czytałeś, jeżeli wolno zapytać?— uśmiechnęła się wdzięcznie.

— Ekonomję polityczną.

— To już nie dla nas! Mniemałam że poezje jakie.

Salonowy tok rozmowy potrwał jeszcze chwilę, gdy wszedł pan domu — i niebawem do drugiego zaproszono śniadania.

Po śniadaniu towarzystwo wyszło do ogrodu.

Z początku Liza szła obok ciotki. Potem, w ciągu ogólnéj rozmowy, słów parę pierwszych zamieniła z Edwardem. Potem jakoś znaleźli się obok siebie— a przy końcu przechadzki już wesołą prowadzili gawędkę.

Wieczorem śpiewali pospołu. Rozprawiali bardzo wiele — o Paryżu — o Dreznie — o muzyce — teatrze i literaturze. Liza w wysokim stopniu posiadała *rutynę konwersacji salonowéj* — a jest-to jeszcze co innego, jak umiejętność prowadzenia i utrzymania zajmującéj rozmowy: można umieć jedno, a nie potrafić drugiego. Otóż więc Liza była mistrzynią w pierwszem — i olśnić potrafiła: mowiła o wszystkiem, przeskakując z jednego przedmiotu na drugi, barwiła gawędkę swoją *frazesami* błyskotnemi, francuzkiemi dowcipami — i zdaniami pochwytanemi z różnych *Revues* używała i wyrażeń technicznych właściwie — a przy tem jeszcze umiała być i *naiwną!* Matkę raz po raz w rękę całowała — i też znowu mama słodziuchna i tkliwa, serdeczną troskliwością otaczała córeczkę. Obiedwie także wielką okazywały czułość dla pani Bojomirskiéj.

Dnia trzeciego Edward już był wtajemniczonym, że serce panny dotąd jeszcze nie przemówiło, lubo że kilka świetnych miała partji. Nadto: że i mama miała wielbicieli, starających się o jéj rękę — lecz dla miłości córki za mąż pójść nie chciała i nie chce.

Dotąd Edward nie spotykał jeszcze w życiu kobiet tak powabnych i wzorowych pod każdym względem, jak ta matka i córka. Mianowicie też nie spotkał nigdy jeszcze istoty tak uroczéj i olśniewającéj, jak Liza — a cudna owa istota wyraźnie i widocznie skłaniała się ku niemu, lubiła jego towarzystwo, pogadankę, rozmowę — i tak dobrze z sobą śpiewali! W naiwności pełnéj wdzięku, obok całéj umiejętności towarzyskiéj, dała mu to przecież sama poznać! I coraz daléj w mgle szarawéj, niknęła dziewicza postać Teresy: bladła biedaczka w świetle słonecznem, jakie roztaczał urok piękności, uzdolnienia, rozumu, dobroci i słodyczy.

Na trawniku wśród śmiechu i żartu, Liza i Edward *wolanta* rzucali. Pod wystawą domu siedzieli państwo Bojomirscy—a pani Tytusowa tylko co poszła do swojego pokoju, by list jakiś napisać.

— Co się to dzieje! — wymówił pan Bojomirski do żony, wskazując wzrokiem młodą parę — zachwyciła go, olśniła, jemu już ani w myśli Teresa!

Pani Bojomirska westchnęła — a potem rzuciła z cicha:

— Co to z tego będzie?!

— Nic pomyślnego, za to ci ręczę! Ona go jeszcze i na dudka wystrychnie! Dobrze przynajmniéj, że temu biednemu dziewczęciu jeszcze nie zawrócił głowy. Nie myślałem, ażeby był tak lekki i niestały. Szkoda! potrzeba im zaraz z góry było napomknąć, że Edward jest już zajęty.

— Uczyniłam to przecież zaraz dnia pierwszego, zanim widziały go jeszcze! Poszłam do nich, by je powitać, i rozgadałyśmy się różnie. Mówiłam im także, i to umyślnie, o pani Zegocinéj i Teci.

— O pani *doktorowéj* i pannie *doktorównie*, bo zapewne je tak nazywają zawsze.

— Jakżeżby inaczéj!—westchnęła pani Bojomirska znowu. Mówiłam im o dobrem wychowaniu Teci, o jéj zaletach i wdziękach, na co krzywiły się niby niedowierzająco — dodała ciszéj; — a przytem natrąciłam, że u nas bawi właśnie twój bratanek, któremu Tecia spodobała się bardzo... a reszty domyślić się kazałam.

— I pewnie to raczéj owe ostrzeżenie bodźca pannie Lizie dodało, ażeby wielbiciela panny *doktorównéj* do swojego zagarnąć rydwana! Och! powiadam...

— Ignalku! To jest córka mojego kochanego Tytusa! Bratanka moja! może też i naprawdę pokocha Edwarda, i tych różnych pozbędzie się przywar. A Edward tak jest zacny, poczciwy, szlachetny, on potrafiłby ją prowadzić!

— O, o! — pan Bojomirski z niechęcią głową poruszył.

— To jest dziecko mojego brata! W niéj być musi część duszy i serca Tytusa! i wyciągnęła rękę do męża.

Pan Bojomirski podaną sobie rękę uścisnął, i wyrzekł:

— A Edward jest moim bratankiem! Powinienbym go przestrzedz.

— Jak? I pod jakim względem? To skompromitowałoby pannę!

— Jest kokietką!—dorzucił małżonek, a żona pobladła.

— Ależ, Ignalku! Gdyby szczerze pokochała Edwarda! Zresztą, może przestroga już nie przydałaby się dzisiaj, jeżeli urokowi uległ. Zostawmy to losowi, proszę cię!

Małżonek ruszył ramionami, chmurny i kwaśny.

— Dla Teci znajdzie się kto inny... postaram się o to. Zajmę się jéj losem, jak gdyby moją własną była córką. Zostawmy *tamtych* losowi!

Pan Bojomirski, jak gdyby w tym przedmiocie dalszéj unikając rozmowy, wszedł do dworu. Żona jego w przykre pogrążyła się dumanie.

Młodzi *wolanta* rzucać przestali. Liza poczęła wić wieniec z jesiennych astrów — Edward najpiękniejsze, różowe, białe, fijołkowe, zrywał i podawał.

Pani Tytusowa słodko uśmiechnięta wróciła, i całując w czoło siostrę brata, pieszczotliwie zapytała:

— Czemuż to Miluchna moja taka zadumana?

— Zamyśliłam się troszkę o różnych sprawach domowych.

— A kiedyż pani *doktorowa* powróci?

— Nie wiem napewno!

— Chciałabym ją zobaczyć kiedy, i pannę *doktorównę* także.

— Przybiegła Liza w równiance z astrów nad czołem — śliczna, jak cukierek! A za nią Edward uśmiechnięty i wesoły.

Pani Tytusowa już więcéj nie wspominała o pani *doktorowéj* i pannie *doktorównie*.

V.

W oświetlonym salonie zebrało się całe grono przy herbacie. Liza w szczególniéj podnieconym była humorze: szczebiotała wesoło i ciągle białe pokazywała ząbki; niekiedy wszelako i myśl głębszą rzuciła, jakby dla okrasy lekkiéj, małoznaczącéj gawędki. Edward słuchał z całym zajęciem, z ożywionym wyrazem i błyszczącem spojrzeniem. Matka, jak zwykle, z łagodnym uśmiechem spoglądała na córkę, i ze słodyczą przemawiała do wszystkich.

— Przyniesiono listy z poczty, a pomiędzy temi był jeden do pani Tytusowéj.

— Od kogo, mamo? zapytała Liza.

— Od naszéj Rządkosi.

— Od zawiadowczyni twojéj? zapytała pani Bojomirska.

— Tak... poczciwe kobiecisko.

— I cóż pisze, mamo?

— Że nas oczekują, że pokoje już gotowe na przyjęcie nasze, okurzone, przewietrzone, przybrane. Owoców dużo. Sąsiedztwo dowiaduje się, kiedy wrócimy, gotują nam *surpryzy* jakieś. Ale, otóż i nowinka! Pani Tytusowa przeczytała: „W miejscu zmarłego niedawno doktora Rodnicza, w Staromieście, obejmie posadę młody doktór Słomnicki.“

— Słomnicki! — zawołał Edward.

Pan go znasz? — zapytała pani Tytusowa.

— To mój kolega uniwersytecki i przyjaciel od serca.

— Przyjemny człowiek?

— Bardzo zdolny i zacny!

— Gdzież był dotąd?

— Skończywszy uniwersytet, bawił czas jakiś w Paryżu. Podróżował wiele, zwiedzał różne zakłady zdrowia, a przez ostatnie pół roku zostawał w zakładzie doktora N. X.

— W domu obłąkanych. Ale przecież nie jako chory? — zagadał pan Bojomirski.

— Uchowaj Boże! Dla nauki, dla *praktyki*. Tam go odwiedziłem. Jadąc tu od brata, zboczyłem do zakładu. Winszuję paniom tak dobrego lekarza i zacnego człowieka.

— Nie wiedziałem, żeś tam był ozwał się stryj, a stryjenka zapytała:

— Czy długo tam bawiłeś?

— Przez dwa dni. Lecz w zakładzie nie rozglądałem się wiele.

— A jednakże to ciekawem jest bardzo — wtrącił pan Bojomirski.

— Tak, stryjaszku, to prawda, ale przykre nader czyni wrażenie. A są tam i szaleni, a krzyki ich, jęki i wycie, są straszne, przerażające. Słyszałem ryk jednego, mówię *ryk*, którego wyrzut sumienia szalonym czyni, a krzyk ten dotąd zalega mi w uszach. Inni znowu są komiczni, ależ i na nich przykro patrzeć, szczególniéj zajął mnie jeden, smutną bardzo mający warjacją: od lat dwudziestu przeszło hoduje blekot i lilją. Edward nie spostrzegł, że pani Tytusowa nagle pobladła, poruszyła się, a potem na jéj lica mocne uderzyły rumieńce. W koło wszyscy milczeli, i prawił daléj: Był przez lat ośm w którymś innym zakładzie, a od lat dwunastu jest u doktora N. X. Był podobno narzeczonym miłéj i cnotliwéj panienki, lecz opanowała go jakaś piękna, ale niecna zalotnica, że narzeczoną opuścił, a potem przez kokietkę porzuconym został... i oszalał biedny. Lilja jest więc wyobrażeniem tamtéj pierwszéj panienki która go prawdziwie kochała, a blekot zalotnicy bez serca. Ten ostatni zwykł malować farbami różnemi, mówiąc, że tamta niegodna piękność złudnemi barwami zwodziła wszystkich. W koło lilji chwasty wyrywa. Ten nieszczęśliwy nazywa się Borzymski i...

Pani Tytusowa powstała nagle, czerwona, z iskrzącym wzrokiem, że i śladu zwykłéj nie pozostało słodyczy — i szybko wyszła z salonu. Edward urwał swoje opowiadanie i obejrzał się na obecnych: Liza siedziała z pochyloną głową, rumiana, skwaszona; stryj milczał poważnie, a stryjenka była blada i w ziemię patrzyła.

Zdziwiony Edward nie mógł sobie wytłomaczyć, co to znaczyło wszystko.

W tém pan Bojomirski nieznacznie skinął na niego i wyszli do drugiego pokoju.

— A tożeś się spisał! — zawołał stryj, i rzucając się na krzesło, tłumionym wybuchnął śmiechem.

— To i cóżem zbroił? Nic nie wiem, nic nie rozumiem! Nic z tego wszystkiego nie pojmuję! — powtarzał Edward, stojący przed nim, zdziwiony i niespokojny.

— Otóż, chłopcze kochany, źle wybrałeś się ze swoją powiastką, bo w obec *heroiny* tejże: tym *blekotem* właśnie jest pani Tytusowa, a *lilją* pani Żegocina.

— A!... Czy podobna?! — uderzył się Edward w czoło. Teraz rozumiem! Wszystko rozumiem! — i pobladł. Wszystko rozumiem! Więc to *ona!*.., I *jego*... i majątek! Okropnie! Czemuż mi stryjostwo nie mówili, że to była *ona*, którą znałem z opowiadania stryjenki, o smutnym losie pani Żegocinéj?.. Och! — wzdrygnął się i pobladł jeszcze więcéj.

— Jakżeż tu było takiemi zarzutami obciążać bratowę! Radzibyśmy te historje na wieczne czasy w niepamięć zagrzebać.

— A ja!... Straszno! — znowu uderzył się w czoło, i szybko pokój przebiegał. *Ona!... ona* blekotem! A matka Teresy *lilją!*.. Stryju! — i nagle zatrzymał się przed nim: Jakżeż pan Tytus mógł z taką ożenić się kobietą?

— Była bardzo piękną, arcy-powabną, i oszalał za nią! Żadna uwaga nasza nic nie pomogła. Żona moja bolała bardzo.

— A czy był z nią szczęśliwym?

— Ha!.. Nie skarżył się. Żył z sobą tylko lat pięć. Umarł. Potem pani Tytusowa wyjechała zaraz do Drezna, dla edukacji córki, i tam wszystkie przesiedziała lata. Widywaliśmy ją oczywiście dość rzadko.

— I teraz przyjechała właśnie! — Edward znowu kilka razy przebiegł pokój.

— Stryju! — zawołał nagle stawając przed nim— za godzinę wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Gdziebądź!.. Jadę, by ztąd ujechać, z temi paniami już widzieć się nie chcę. Pojadę do którego ze znajomych... wreszcie i w mieście się zatrzymam, a gdy wyjadą z Radoszyc, powrócę. Byłem oszołomiony, i na mnie działał już *blekot!* Możebym był popełnił szaleństwo... Możebym i całkiem był oszalał, a po niedługim czasie także hodował blekot i lilję jak tamten biedak. W téj chwili już tylko, wstręt czuję, wstręt niepokonany!. Pewnie byłem *upatrzoną* ofiarą. Uciekam od trucizny! Teresa — lilijka z całym swoim dziewiczym urokiem w mojéj odżyła duszy, spotęgowaną odżyła siłą! Jadę! — zadzwonił.

— Niechaj Łukasz zaprzęga natychmiast! — rozkazał.

— Nie zatrzymuję cię — wymówił pan Bojomirski. Jedź z Bogiem i powracaj rychło!

— Jak tylko one Radoszyce opuszczą. Im prędzéj wyjadę, tem lepiéj, bo mi ciężko pod jednym z niemi dachem. Ziemia pod mojemi pali się stopami.

— I one nie zabawią tu długo.

Drzwi zwolna otworzono, i weszła pani Bojomirska.

— Cóż tu porabiacie i o czem radzicie? — zapytała, patrząc, to na męża, to na Edwarda, biegającego niecierpliwie po pokoju.

— Ha! — zaśmiał się pierwszy — nastąpiło rozwiązanie dramatu, a lepiéj że to nastąpiło nie zapóźno jeszcze. Edward przez nieświadomość wypowiedział historyjkę, i drasnął panią Tytusową, a zarazem dowiedział się o wszystkiem. Teraz ze wstrętem ucieka!

— Dokąd?

— Gdziebądź! Dopóki nas te panie nie pożegnają.

Pani Bojomirska pokręciła głową — a potem przystąpiła do bratanka i podając mu rękę, wymówiła.

— Jedź z Bogiem, i powracaj rychło, spokojny i szczęśliwy!

— Stryjenko! Spokojny już jestem, i szczęśliwy, jak rozbitek, który do zbawczego dopłynął brzegu. Może mi potrzebną była taka nauka.

— A cóż tam te panie porabiają? zapytał gospodarz domu.

— Pani Tytusowa narzeka na nagłą, gwałtowną migrenę, a Liza jest przy niéj.

Edward w kilka chwil potem Radoszyce opuścił.

Pani Bojomirska znowu do swoich udała się gości.

— Edward odebrał wezwanie od przyjaciela, by pośpiesznie do niego przybywał... znać jakiś pilny nagli interes, i właśnie wyjechał — opowiedziała mi, uważając to jako rzecz konieczną, lecz zapłonęła przytem, że skłamać musiała.

Liza jakoś dziwnie usta skrzywiła. A pani Tytusowa wyrzekła:

— Na tem ubytku nic nie tracimy.

Nazajutrz oświadczyła pani Tytusowa, że przeczytawszy raz jeszcze list swojéj *Rządkosi*, nabrała przekonania, że winna co rychléj do siebie powracać — i zaledwo wyjazd swój do dnia drugiego wstrzymała.

Liza była taką jak zwykle i czyli jéj tak zupełnie a zupełnie obojętnym był odjazd Edwarda, czyli też tak dobrze udawać umiała? — na tem nawet i pan Bojomirski poznać się nie zdołał. Przypuszczał wszelako nieomylnie, że panienka w maskowaniu się znamienitą posiadała wprawę. Wierzył, że Edward serca jéj nie zajął bynajmniéj — bo zarazem osądził, że tam serca nie było wcale — jednakże ucierpiała zawsze jéj miłość własna!

Pani Tytusowa ciągle jeszcze żaliła się na migrenę — twierdząc, że zbyt mocnéj napiła się herbaty, a taka nerwom jéj szkodzi. Państwo Bojomirscy domyślali się, że na Edwarda wielce urażoną była.

Na drugi dzień, po wyjeździe pani Tytusowéj — Edward powrócił. Odzyskał całkiem dawniejszą swobodę — i tylko z niecierpliwością oczekiwał powrotu pani Żegocinéj. Codziennie zrana wysyłał umyślnego po wiadomość do Trawnik.

Wreszcie dnia jednego doniesiono mu: że panie wczorajszego powróciły wieczora. Rad i uszczęśliwiony ponad wszystko, kazał sobie po objedzie zaprządz, i pojechał, by je powitać.

Wjeżdżając na dziedziniec, dojrzał przez otwarte okno w pokoju, blado-niebieską sukienkę — i aż mu serce podskoczyło.

W pokoju przyjęła go pani Żegocina sama tylko. Była uprzejmą — bo inną być nie umiała— ale chłodną niby i smutną. Po chwili Edward o pannę Teresę zapytał.

— Tecia ma ból głowy — odrzekła matka, a na jéj blade lice lekka wystąpiła krasa.

(d. n.)
